

Marta Maria
Dobrzyńska



KRÓLOWA MAGNOLII

1

Spis treści

PROLOG	5
ROZDZIAŁ PIERWSZY	9
ROZDZIAŁ DRUGI	24
ROZDZIAŁ TRZECI	72
ROZDZIAŁ CZWARTY	107
ROZDZIAŁ PIĄTY	148
ROZDZIAŁ SZÓSTY	173
ROZDZIAŁ SIÓDMY	209
ROZDZIAŁ ÓSMY	234
ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY	263
ROZDZIAŁ DZIESIĄTY	287
ROZDZIAŁ JEDENASTY	316
ROZDZIAŁ DWUNASTY	359
ROZDZIAŁ CZTERNASTY	393
ROZDZIAŁ PIĘTNASTY	416

Marta Maria Dobrzyńska

KRÓLOWA MAGNOLII

1



© Marta Maria Dobrzyńska 2020

© Campidoglio 2020

Konsultacja

Zofia Matejewska

Korekta

Emilia Danowska-Florczyk

Marcin Będkowski

Skład i łamanie

Marcin Trepczyński

Grafika na okładce

Michał Madej

Zdjęcie autorki

Paula Raczyńska

ISBN 978-83-65900-18-0

Podkowa Leśna 2020

Wydawnictwo Campidoglio
campidoglio.pl



[Kup książkę](#)

PROLOG

Możliwe, że o wszystkim przesądziły słowiki. Znacznie łatwiej jest planować ucieczkę z zamku przy akompaniamencie słowiczego śpiewu. A tamtej nocy śpiewały tuż pod jej oknami. Cayenne leżała w wielkim, białym łóżku osłoniętym półprzezroczystą zasłoną. Przez tę zasłonę widziała okno, a w nim fragment widnokregu; miasto, las i szafirowe niebo, pokryte bladą siateczką gwiazd. Słyszała szum fontanny w ogrodzie i słowiki.

Tak się złożyło, że półtora miesiąca wcześniej została królową w sposób dość niespodziewany. To znaczy: niespodziewany dla niej. Inni oczywiście wiedzieli (zaciśnęła pięści i po raz nie wiadomo który fuknęła z oburzeniem). Wiedział jej ojciec, wiedział Lissar, hrabia Markus i inni z otoczenia króla. Wiedzieli ci wszyscy medycy zapewniający, że król przeżywa „czasowe osłabienie związane z emocjonalnym wstrząsem”. Znali prawdę zapewne wszyscy mieszkańcy zamku, nawet ogrodnicy i pomywaczki. Oraz jej niańka Vanessa, pochlipująca po nocach zza swojej zasłony. Wiedział lud w całym mieście, a może i w całym kraju. Nie wiedziała tylko ta, która miała objąć rządy, księżniczka Eulalia, zwana Cayenne.

I któż to zabronił wszystkim mówić jej prawdę? Kto śmiał zakpić z niej w tak bezczelny sposób?

– Lissar, oczywiście! – syknęła ze złością.

Lissar Metieira. Doradca, powiernik i najlepszy przyjaciel króla Maja. Ksiązę Metieira, po królu najwierniejszy ojczyźnie i najmędrszy, drugi ojciec narodu. Znała to na pamięć. Wszyscy uwielbiali Lissara. Nikt tak jak on nie umiał przemawiać. Umiał wzbudzić zaufanie i mówiono o nim zawsze z głębokim szacunkiem. Kochali go bardziej niż swojego ojca – myślała Eulalia. – Lissar zawsze o tym wiedział, stwarzał tylko pozory. Biedny ojciec też mu ufal, słuchał go we wszystkim. Ten starzec opanował nim zupełnie, a teraz chce, żebym i ja była jego marionetką. Ale niedoczekanie jego.

– Niedoczekanie jego! Stary krętacz – powiedziała głośno i zaśmiała się na myśl, jaką minę miałby ten, kto by ją teraz usłyszał. Wszyscy są ślepi i głusi, nie rozpoznali zdrajcy. Ale ona widzi i słyszy. Ona, jedyna osoba, która nie wiedziała o zbliżającej się śmierci ojca, a także i o tym, że po objęciu władzy będzie wyłącznie „królową z portretu”. Ignorowali ją i traktowali jak dziecko. Ją – królową! Ale teraz ona wie. Ona jedna zna prawdę. Eulalia odgarnęła z rozpalonego policzka pukiel rudych włosów i uśmiechnęła się z satysfakcją.

Miała osobiste powody, by nie lubić księcia. Od śmierci królowej Julietty pełnił na dworze funkcję ochmistrza, wychowawcy i nauczyciela. Co ciekawe, uwagę swą skupił nie na przewidywanym następcy tronu Rasmusie, jedynym bracie Cayenne, który w chwili śmierci ich matki miał lat dwanaście, ale na jego pięcioletniej, czerwono-włosej siostrze. I w ten sposób stał się koszmarem jej życia. To właśnie on męczył ją nauką historii, której tak nie znosiła. To on decydował o tym, z kim Cayenne wolno było się spotykać, ile czasu mogła spędzać poza swoimi pokojami oraz czym mogła się zajmować, a czym nie. Gdy skończyła osiem lat, kazał ją uczyć jeździć konno. Ale gdy już pokochała zarówno jazdę konną, jak

i ślicznego siwka Kamyka, Lissar stwierdził, że księżniczka powinna przesiąść się na prawdziwie szlachetnego konia, a siwek jest już tak stary, że w galopie przegralby z osłem. Tak, dokładnie tak to zostało powiedziane. Było to podczas wspólnej kolacji i wszyscy – naturalnie – odpowiedzieli na ten doskonały dowcip gromkim śmiechem. Tylko Rasmus, kochany Rasmus – on się nie śmiał. Do końca kolacji przesyłał jej ponad stołem swoje wierne, współczujące spojrzenia. A ona kolacji już nie tknęła i płakała potem w łóżku.

Rasmus, tylko on. On jeden mnie rozumiał. On jeden umiał przeciwstawić się księciu. Wobec niego Lissar czuł jakiś respekt. Mądry, kochany Rasmus... Byłby wspaniałym królem.

Twarz brata stanęła jej przed oczami, tak podobna do twarzy ojca. To samo mądre czoło, jasne spojrzenie niebieskich oczu, ten sam uśmiech na trochę zbyt wąskich wargach. I nagle całkiem wyraźnie zabrzmiał jej w uszach jego głos sprzed kilku lat: „Cay! Caaay! Gdzie się schowałaś, Cay?!”.

Zawsze mówił do mnie „Cay”. Jak Kaj i Gerda. To była nasza ulubiona baśń. Królowa Śniegu. Właściwie to on powinien był być Kajem, a ja Gerdą. Zawsze mówił, że pójdzie na koniec świata, żeby ratować swoją Cay przed złą królową. Rasmus...

Poczuła, że łzy napływają jej do oczu. Ucieszyła się, pamiętając ciągle ową pierwszą noc, gdy wiadomość o wypadku księcia, obiegłszy cały zamek, wycisnęła z jego mieszkańców więcej łez, jęków i klątw, niż słyszano w przeciągu siedmiuset lat panowania dynastii Mirtów. A jego siostra, leżąc w białej pościeli, nie mogła zmusić się do uronienia choćby jednej łezki. Zawstydzona, wpatrywała się w baldachim, aż w końcu zasnęła.

Zupełnie inaczej było, gdy umierał jej ojciec.

Ale pewnie i wtedy nie płakałabym, gdyby nie kazano mi wejść do jego sypialni. Może wzruszyła mnie tylko ta sytuacja i jeszcze to, co mi mówił. To było dość patetyczne. Biedny ojciec.

Królowa westchnęła i wróciła myślą do swojego planu. Jego zarysy powstały już jakiś czas temu. Teraz nabierały kształtu i wyrazistości. Sprawa sukcesji tronu była w Magnolii prosta. Rządy sprawowano tu dziedzicznie od niepamiętnych czasów. Z chwilą śmierci władcy insygnia przyjmowało najstarsze z jego dzieci, niezależnie od płci. Takie było prawo i nikt nie ośmieliłby się na nie targnąć. Magnolczycy byli z niego dumni, stanowiło w ich świadomości rękojmię porządku i szczęścia. „Dopóki tron będzie dziedziczny, a w kopalni nie zabraknie srebra, dopóty Magnolia nie zginie” – mawiano. Więc nawet Lissar musi zachować pozory. Aby było królestwo, musi być królowa. Cayenne zachichotała.

– Twierdzisz, książę, że siedemnastoletnia królowa nie potrafi rządzić bez ciebie? Może potrafi, a może nie. Ale ty z pewnością nie będziesz mógł rządzić beze mnie – rzekła i osunęła się w krainę snu.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Magnolia jest niewielkim, zalesionym i zupełnie okrągłym krajem, położonym na południowy wschód od Piątego Morza, otoczonym pierścieniem Gór Olbrzymich niczym wałem obronnym. Jest to kraj niewielki, lecz silny i spokojny, a także bogaty, choć średnio urodzajny. Dobrobyt zawdzięcza przede wszystkim kopalni srebra, od kilkuset lat wciąż czynnej i przynoszącej dochody, tak z powodu samego kruszcu, jak i rozwijającej się toreutyki oraz sztuki jubilerskiej. Dzieła wychodzące tu spod wprawnych rąk rzemieślników – ludzi, fingów i krasnoludów – uważane są za wyjątkowo atrakcyjne. Nie mniej słynne są magnolskie jabłka i produkowany z nich cydr, truskawki oraz wszelkie odmiany magnolii, które mieszkańcy cenią na równi z jabłkami. Czy ma to jakiś związek z patriotyzmem, czy też wynika wyłącznie z pobudek estetycznych, trudno zgadnąć. Pozostaje jednak faktem, że w pierścieniu Gór Olbrzymich trudno znaleźć choćby jeden ogródek pozbawiony drzewka zakwitającego co roku białymi kokardami.

Historia Magnolii należy do niebywale spokojnych. Ostatnia wojna miała tu miejsce przed siedmiuset dwudziestu sześciu laty, kiedy to dziki i zuchwały lud Grolgów z Północy napadł na gród

Seiligen, by ograbić go ze srebra i zająć kopalnię, której sława, jak wynika z tej opowieści, już wtedy sięgała daleko. Jak dalej można wyczytać z zapisków kronikarzy, mieszkańcy Seiligen mężnie stawili opór i po piętnastu dniach krwawych walk Grolgowie ustąpili. Rocznice tego zwycięstwa świętuje się w Magnolii do dziś, a miasto Seiligen uważa się za pierwszą stolicę państwa. Niejaki Mirte, kowal, który dowodził wówczas jego obroną, został potem obwołany królem. Jego syn Riszte przeniósł następnie swą siedzibę na południe, w samo centrum pierścienia, gdzie wybudował zamek oraz gród, który z czasem rozrósł się w wielkie i piękne miasto.

Legenda głosi, że gdy król Riszte przyjechał na to miejsce, ujrzał wśród boru, nad strumieniem kwitnące drzewko magnolii. Gdy urzeczony zjawiskiem chciał podejść bliżej, drzewo zmieniło się nagle w urodziwą damę w sukni utkanej z kwiatów. Tajemnicza pani odezwała się tymi słowy: „To moje królestwo, wojowniku, jednak pozwolę ci wybudować tu miasto pod dwoma warunkami. Po pierwsze, nie wolno ci zniszczyć mojego drzewa. Jeśli je wytniesz lub choćby uszkodzisz, żadna twoja budowa nie dojdzie do skutku. A oto drugi warunek: kiedy już zbudujesz stolicę, nazwij ją, a także cały twój kraj, moim imieniem. Ja zaś obiecuję wówczas tobie i twym poddanym szczęście i bogactwo”. Jakkolwiek samą legendę wędrowni pieśniarze wymyślili dobre sto lat po śmierci króla Risztego, trzeba przyznać, że kraj rzeczywiście cieszył się pokojem i dostatkiem. Nawet władcy sprawowali się dobrze; nie znalazłoby się wśród nich tyrana czy okrutnika.

Ostatni z królów, Maj, zwany Rudowąsym (ze względów, których nie trzeba wyjaśniać), był władcą już wyjątkowo dobrotliwym. Przy swym wspaniałomyślnym stosunku do bliźnich sam był jednak pechowcem. Tak przynajmniej mówiono. Rzeczywiście, zaznał w życiu niewiele osobistego szczęścia. A kiedy losowi zdarzyło się już do niego uśmiechnąć, był to uśmiech krótki i ulotny. W niemłodym już wieku król poślubił piękną księżniczkę Juliettę. Było

to małżeństwo nietypowe jak na królewską parę (choć w Magnolii akurat znalazłoby się więcej takich przypadków), bo zawarte ze szczerej miłości. Mariaż efektowny: ona – piękna i pełna słodyczy, on – niski i rudy, choć niewątpliwie uroczy, obdarzony błyskotliwą inteligencją oraz dobrocią, która czyniła go czasem naiwnym w oczach ludzi.

Przez trzynaście lat żyli ze sobą w zgodzie i szczęściu. W tym czasie przyszło na świat dwoje dzieci – najpierw Rasmus, a siedem wiosen później Eulalia. Zarówno król, jak i królowa kochali ogromnie swoje pociechy, starali się też chować je mądrze, nie rozpieszczając zbyt. Eulalia była jednak skazana na los pupilki całego dworu: śliczna jak laleczka, ufna i wesoła, bez trudu kradła serca wszystkich. Po matce odziedziczyła oczy – duże i szare, a także głos i sposób poruszania się, po ojcu głównie kolor włosów, które w jej przypadku przybrały ciemniejszy odcień delikatnie wpadający w czerwień. Ktoś kiedyś powiedział, że ich barwa daje się porównać jedynie z pieprzem cayenne. Księżniczce bardzo się to spodobało i od tamtej pory nowe imię przykleiło się do niej na stałe.

Szczęście królewskiej rodziny prysło, gdy pewnej zimy, pięć lat po urodzeniu córki, królowa Julietta przemarzła na ślizgawce i zachorowała. Medycy orzekli, że to zapalenie płuc. Walczyli o jej życie przez trzy tygodnie, jednak starania okazały się daremne. Zmarła została pochowana w grobowcu przypominającym raczej pałac, gdzie przez wiele dni oplakiwali ją dworzanie i cały lud. Była to żaloba szczera i serdeczna, ale jak każda żaloba, musiała się kiedyś skończyć. Jednak króla smutek nie miał już nigdy opuścić. Po stracie ukochanej, bo właśnie ukochaną po trzynastu latach małżeństwa była dla niego Julietta, Maj odsunął się od władzy i od dzieci. Nie utracił może całej radości życia, ale nigdy już niczym nie potrafił cieszyć się w pełni. Widywano go nocą, jak snuł się po zamku, rozmawiając sam ze sobą. Krążyły nawet plotki, że stał się lunatykiem. Cayenne wiedziała, że ojciec zatrzymuje się w holu, pod

wielkim portretem królowej i tam spędza długie godziny, szepcząc słowa, których nikt mógłby zrozumieć. Myślała też, że on rozmawia wtedy z drugą połową swej duszy.

W ciągu dnia był roztargniony i jakby trochę nieobecny. Gdyby nie doradcy, zwłaszcza ksiązę Lissar, prawdopodobnie nie byłby zdolny utrzymać ładu w państwie. Dzieci nadal kochał i troszczył się o nie, lecz unikał bezpośredniego kontaktu; za bardzo przypominały mu żonę. Szczególny ból sprawiał mu widok szarych oczu Cayenne. Toteż unikał jej spojrzenia, jak mógł. Myślał o niej i o synu, o ich przyszłości, ale nie rozmawiał z nimi prawie wcale. Rasmus i Cayenne mieli niejasne wrażenie, że wraz z matką stracili ojca.

Minęło dwanaście lat i na magnolski zamek spadło kolejne nieszczęście, gorsze od poprzedniego. W jasny, grudniowy poranek ksiązę Rasmus postanowił wybrać się na przejażdżkę. Zaraz po śniadaniu kazał osiodłać konia, ubrał się i wyszedł na dziedziniec. Już miał odjeżdżać, gdy zatrzymała go siostra.

*

- Jedziesz? – zapytała Cayenne.
- Mhm.
- Mam zgadywać dokąd?
- Mhm.
- Dalej niż do miasta, nieprawdaż?
- Mhmm...
- I dalej niż nad rzekę. Całodniowa wyprawa?
- Mhm. Nieźle zgadujesz.
- I samotna. Czy tak?
- Domyślna jesteś, siostrze.
- Zabierz mnie ze sobą! – zawołała kategorycznie.
- Cayenne...

– Proszę! Już tak dawno nie jeździliśmy razem!
– Dawno? – zdziwił się. – Dziesięć dni temu.
– No, właśnie – pokiwała głową z udawanym wyrzutem. – Całe dziesięć dni temu!

– Nie, Cayenne. Dzisiaj muszę jechać sam.
– Sam, sam! Ciągłe sam! – rozzłościła się. – Nie chcesz ze mną jeździć ani rozmawiać. I wiem, że coś ukrywasz. Zakochałeś się, braciszku?

Rasmus w odpowiedzi roześmiał się radośnie.

– Aha... – uśmiechnęła się Cayenne, mrużąc oczy. – Opowiesz mi? Znam ją?

– Nie dziś. Muszę już jechać – odrzekł stanowczo. Cayenne naburmuszyła się jak dziecko.

– Ale ty jesteś! Taka piękna pogoda, tyle śniegu, a ty chcesz, żebyś zanudziła się tutaj na śmierć.

– Innym razem, Cay. Ale w tym miesiącu. Obiecuję, dobrze? – z wysokości siodła pogłaskał ją po głowie. – Jutro pojedziemy razem, obiecuję. Dobrze? Zrozum, muszę...

Cayenne uśmiechnęła się wreszcie i spojrzała mu w oczy z miłością.

– No już dobrze, jedź sobie.

Rasmus odwzajemnił jej spojrzenie.

– Dzięki, Cay. Wracaj do domu albo ubierz się w coś cieplejszego, bo dostaniesz kataru.

– Nie dostanę. Uważaj na siebie.

Uśmiechnął się i odjechał w stronę bramy, którą właśnie przed nim otwierano. W ostatniej chwili odwrócił się przez ramię, unosząc rękę na pożegnanie. Stojąca na wymiecionym dziedzińcu siostra odpowiedziała mu tym samym gestem.

Wracając do pokoju, zastanawiała się, w kimże to jej brat, po pięciu latach „abstynencji”, mógł się zakochać? Postanowiła, że nie będzie czekać do następnego dnia i zapyta go o wszystko jeszcze

tego wieczoru. Weszła do swojego pokoju i cicho zamknęła drzwi. Zdjąwszy z półki książkę, usiadła z nią we wnęce okiennej, wsunęła pod plecy poduszkę i zabrała się do czytania. Za oknem padał śnieg drobnymi, wirującymi płatkami. Cayenne uwielbiała siedzieć w oknie i patrzeć na padający śnieg, ale tym razem lektura pochłonięła ją bez reszty. Do tego stopnia, że ocknęła się dopiero, kiedy usłyszała głośnie pukanie do drzwi.

– Wasza Wysokość, książkę Lissar prosi, by Wasza Wysokość raczyła zejść.

Cayenne przypomniała sobie, że nie zeszła na obiad.

– Powiedzcie, że dziękuję i nie jestem głodna – rzuciła, nie podnosząc oczu znad książki.

Po kilku minutach ktoś wszedł do pokoju.

– Księżniczko, czemu nie schodzisz, kiedy proszę? – rozległ się nad nią dobrze znany, spokojny, nieznoszący sprzeciwu głos. Cayenne spojrzała na Lissara nieprzytomnym wzrokiem, z trudem wydobywając z półmroku wyraz jego twarzy.

– Przepraszam, ja... – zaczęła.

– Księżniczko, czy wiesz, gdzie może być twój brat?

– Rasmus? Tak... wiem. Pojechał rano na przejażdżkę.

– Na przejażdżkę? – powtórzył Lissar tonem, w którym było coś, co przeszło ją dreszczem. – Rano?

Cayenne spojrzała w okno i w tej chwili pojęła wszystko: na dworze zmierchało, a lasem od kilku godzin wstrząsała śnieżycą.

Mimo koszarnej pogody od razu rozpoczęto poszukiwania. Część żołnierzy pełniących służbę na zamku i w mieście wysłano, aby przeszukali okoliczne wsie oraz przydrożne gospody. Liczono na to, że książkę schronił się w którejś z nich. Pytani twierdzili jednak zgodnie, że księcia tego dnia nikt nie widział. Szukano więc w lesie, choć w tych warunkach na odnalezienie kogokolwiek w puszczy nie było prawie szans. Wszelkie ślady dawno znikły pod wciąż rosnącą warstwą śniegu, psy traciły orientację, a ludzie cier-

pliwość. Zupelnie przypadkowo dwaj spośród poszukiwaczy, należący zresztą do straży miejskiej, znaleźli się nad brzegiem rzeki.

*

– No i jak, Nol, widzisz coś?! – krzyczał młodszy strażnik poprzez wichurę.

– Jasne! – odkrzyknął drugi. – Dużo czegoś białego! To chyba śnieg!

– A widzisz coś jeszcze?!

– Niewiele... Czekaj, widzę! To rzeka!

– Rzeka? – zdziwił się młody.

– Rzeka?! – prawie równocześnie wyraził swe zdumienie Nol, ale żaden tego nie usłyszał. – Kiedy myśmy tu dojechali?! Psiakość! Przez tę zawieję można zupełnie stracić orientację!

– To bez sensu! – jęknął Ren. – Chłopak na pewno schował się w jakiejś karczmie! Siedzi tam teraz i spokojnie pije grzańca. Pewnie go już znaleźli, a my tu zamarzamy jak głupi!...

Nol patrzył nadal w stronę rzeki, usiłując dostrzec coś przez śnieżną zawieję.

– Nol, wracajmy. Przymarzłem do siodła.

– Chodź, pojedziemy jeszcze i rozejrzemy się przy brzegu. Tak się zastanawiam, może powinniśmy jeszcze przejść na drugą stronę.

– Zwariowales? – zniecierpliwił się Ren. – Nawet jeśli chciałbyś się przepawić, to przecież nie w tym miejscu. Łód jest tu za cienki!

– Ren!

– Co?

– Nic... Zdaje się, że ktoś jednak próbował.

Rzeczywiście, jakieś dwa metry od brzegu, gdzie woda była już głęboka, widać było pływające kry, które świadczyły o tym, że łód pęknął pod którymś ciężarem. Na jednej z nich, całkiem blisko brze-

gu, leżał ośnieżony przedmiot. Nol zsiadł z konia i podniósł ów przedmiot.

– A niech mnie... – powiedział Ren, gdy zeszywniała haftowana rękawica znalazła się na wysokości jego twarzy. – Myślisz, że to jego?

– A czyja? – po tych słowach przez dłuższy czas nic nie zakłócało wycia wiatru i trzeszczenia gałęzi.

– Nawet pogrzebu nie będzie – odezwał się wreszcie Nol. Chłopak zadrżał całym ciałem.

– Co teraz zrobimy? – spytał cicho. Starszy strażnik otrząsnął się z zadumy i ze śniegu.

– A co możemy zrobić? Wracamy.

*

Tragiczna wieść rozniosła się lotem błyskawicy. Po godzinie całe miasto wiedziało o wypadku następcy. Rękawicę zidentyfikowano i sprawa stała się jasna. W zamku zapanował tej nocy chaos. Król zasłabł i z wielkim trudem udało się go ocucić.

Od tamtej pory Maj poważnie zapadł na zdrowiu. Z dnia na dzień wyglądał mizerniej. Zaczęto poważnie niepokoić się o jego życie. Coraz częściej słychać było na ulicach o rodzinnej kłatwie i o złych czasach, które przyszyły na Magnolię. Po miesiącu król przestał opuszczać sypialnię. Kolejny miesiąc minął pod znakiem milczenia. Nikt nie mówił tego głośno, ale wszyscy oczekiwali jego śmierci. Wieczorem ósmego marca Maj kazał wezwać do siebie córkę.

*

Otwarto drzwi i Cayenne zobaczyła duży pokój, oświetlony tylko ogniem z kominka i płomykami świec. Przebiegła przestrzeń

szybkim spojrzeniem; nie była tu od lat. Pod jej stopami rozpościę-
rał się wzorzysty dywan, który pachniał kurzem. Okna zasłonięte
były ciężkimi kotarami. W głębi, naprzeciwko drzwi, stało łóże.
Siedział przy nim Lissar, a obok kominka stały jeszcze dwie osoby.
Atmosfera była jednoznaczna.

– Wasza Wysokość, przyszła księżniczka Eulalia – odezwał
się Lissar ściszym głosem. Leżący na łożu, oddychający ciężko
człowiek spojrzał w stronę drzwi.

– Podejdź, Eulalio... – powiedział słabo. Cayenne przelknęła
ślinę i podeszła na sztywnych nogach. Teraz z bliska ojciec wydał
się jej wątły jak staruszek. Zarazem przyszło jej na myśl, że na tym
wielkim posłaniu wygląda jak małe dziecko. Spojrzał jej w oczy i –
po raz pierwszy od tak dawna – nie odwrócił wzroku. Leżał w mil-
czeniu, przyglądając się jej. To było peszące.

– Lissarze – odezwał się w końcu – wyjdź, proszę. I wy także...
Zostawcie nas samych... Usiądź, Cayenne – powiedział, gdy drzwi
się zamknęły. – Nie, nie tam, tutaj... Daj mi rękę.

Cayenne zrobiła to i – ku własnemu zdumieniu – zrobiła więcej.
Zsunęła się na dywan i oparłszy łokcie na koldrze, ujęła jego dłoń
w obie swoje ręce. Przycisnęła ją do ust i poczuła, jaka jest chłod-
na; już niewiele pozostało w niej życia. Łzy popłynęły z niej jedna
po drugiej jak z pękniętej szklanki.

– Widzisz, córeczko... Tak mi ciężko... Ciężko mi się tłuma-
czyć. Nie poświęcałem ci zbyt wiele czasu... i nie mam nic na swo-
ją obronę poza tym, że zawsze cię kochałem. Zawsze, Cayenne.

Odpowiedział mu cichy szloch.

– Spójrz na mnie, córeczko. Muszę zobaczyć twoją twarz.

Uniosła głowę i zobaczył ją; czerwoną i zapuchniętą od płaczu.
Nie wyglądała najpiękniej, ale król uśmiechnął się mimo to.

– Tak. Jesteś podobna do niej. To dlatego nie mogłem na ciebie
patrzeć – mówił bardziej do siebie niż do córki. – Ale teraz to już
bez znaczenia... Już niedługo... Och, nie płacz, maleńka... Zosta-

niesz królową, wiesz? Nie spodziewałem się tego, nie przygotowałem cię... Ale ty sobie poradzisz, prawda, Cayenne? Odpowiedz.

– Tak, ojcze...

– To dobrze... Pamiętaj: Magnolia jest twoim domem. Jesteś jej córką, ale teraz będziesz też jej matką. Będziesz się o nią troszczyć.

– Tak, ojcze.

– Będziesz się troszczyć o twój lud. Zwłaszcza o tych, którzy pracują najciężej. Będziesz kierowała się mądrością, ale i sercem.

– Tak...

– Będziesz matką tego narodu – kontynuował król swój testament („przygotował to sobie” – przebiegło jej przez myśl). – Matka broni swych dzieci nawet własnym kosztem, rozumiesz? Panować to znaczy służyć. Pamiętaj o tym, a zaskarbisz sobie szacunek i miłość poddanych. Masz w ręku władzę, ale jeśli użyjesz jej z nieważnością, obróci się przeciwko tobie. Nie daj się zwieść, Cayenne – tu król przerwał, bo dostał ataku kaszlu. Dziewczyna zerwała się i podała mu z taboretu szklankę z wodą. Wypił kilka łyków i uspokoił się.

– Słabe ciało, słabe serce... Już niewiele czasu... – szepnął.

– Ale twoje jest mocne. Uniesie ten ciężar. Powiedz mi teraz, dziecko: czy wiesz, co to odpowiedzialność?

– Zdaje mi się, że wiem, ojcze.

– A czy wiesz, co to prawda i sprawiedliwość?

– Wiem.

– A miłość i poświęcenie?

Spojrzała na niego.

– Wiem – szepnęła, czując, że płacz znów ściska ją za gardło.

– To dobrze, córko. To najważniejsze. Reszty się nauczysz. Chodź tu, pobłogosławię cię...

Z trudem uniośł rękę i położył na jej głowie. Cayenne patrzyła, jak na koldrę padają jej lzy, zostawiając mokre ślady.

– Bądź mądra, bądź dobra, bądź silna. Rządź i kochaj. Bądź królową, jakiej Magnolia nie widziała.

Ciężka królewska prawica zsunęła się po jej ramieniu i opadła na pościel. Cayenne przez dłuższą chwilę bała się podnieść wzrok. W końcu jednak trzeba było to zrobić. Widok zaskoczył ją: ojciec miał oczy zamknięte, a jego nieruchome rysy wyrażały spokój. Królowa uśmiechnęła się, pociągając nosem i ocierając ręką łzy. Przez chwilę patrzyła na niego w milczeniu, bezwiednie się ciesząc, że to właśnie ona, a nie ktoś obcy może go takiego oglądać. Potem ujęła rękę, która jeszcze przed minutą ją błogosławiła i położyła mu na piersi. Na tym sercu, co kochało tak, że aż osłabło z miłości. Tak pomyślała.

– Będę królową, ojcze. Będę królową, jakiej Magnolia nie widziała. Nie dam się zwieść. Obiecuję ci to.

*

Sala była pełna ludzi. Stali poważni, milcząc lub rozmawiając półgłosem. Na wszystkich twarzach – dostojników, urzędników, dyplomatów – malowało się oczekiwanie. Gdy otworzyły się drzwi, wszyscy ucichli. Wszedł Lissar Metieira i wszystkie spojrzenia skupiły się na nim. Odczekał kilka sekund, aby wrażenie było większe.

– Król nie żyje – rzekł swoim dźwięcznym i dobitnym głosem. Zebrani pochyłili głowy z westchnieniem żalu. Milczenie, nieco niecierpliwe, trwało minutę.

– Niech żyje królowa!

W jednej chwili sala zawrzała w radosnych okrzykach. Eulalia weszła i okrzyk uwiązł wszystkim w gardle. Nie takiej się jej spodziewali. Błada, z zapuchniętymi oczami, z rozwichrzonymi włosami, które na próżno próbowała doprowadzić przed wejściem do

ładu, stała przed nimi, ubrana w prostą, niebieską sukienkę. Na szczęście jednak zaraz uniosła dumnie głowę i patrząc po kolei w oczy stojących bliżej, odezwała się tonem spokojnym, jednak tak, że wszyscy usłyszeli wyraźnie:

– Mój ojciec wyznawał zasadę: *Jedynym prawem szczęście poddanych*. Ja również będę się nią kierować. Tron przypadł mi w udziale niespodziewanie, dołożę jednak wszelkich starań, by nie zhańbić imion moich przodków i nie zawieść swego narodu. Moim celem będzie odtąd jego szczęście. Wasze szczęście.

Nastąpiła burza oklasków.

– Niech żyje! – krzyknął ktoś. – Niech żyje królowa Eulalia!

– Niech żyje!!... – posypały się okrzyki. Królowa gestem poprosiła o ciszę.

– Dziękuję. Ale na brawa nie czas jeszcze. Człowieka powinno się sądzić według czynów, a nie według słów. Od dziś ogłaszam żałobę, która będzie trwała miesiąc i jeden dzień. Potem może się odbyć koronacja. A teraz wybaczenie – skłoniła się i wyszła szybkim krokiem. Odprowadzały ją oklaski i ukłony. Wymieniano znaczące spojrzenia. Nawet ci, którzy jeszcze niedawno patrzyli niechętnie na fakt, że oto na tronie zasiądzie kobieta, na dodatek młoda, nie-doświadczona i zupełnie nieprzygotowana do takiej roli, teraz musieli przyznać, że krew Mirtów płynie ostatecznie także i w żyłach tego podlotka. Nie wszyscy zdawali sobie sprawę, że oczarowała ich przed chwilą jeszcze inna krew – wschodnia krew królowej Julietty.

Cayenne tymczasem, opuściwszy salę, szła pustymi korytarzami w kierunku swojej sypialni. Czuła się dziwnie. Trochę jakby spała. I trochę jakby się przebudziła. Jakby dorosła. Jeszcze godzinę temu była siedemnastoletnim, przerażonym dziewczątkiem, któremu wydawało się, że nie przeżyje spotkania z umierającym ojcem, a teraz... Odetchnęła głęboko, a korytarz odpowiedział echem. Teraz była królową. Była nią naprawdę! Czuła to całą sobą. Wciąż

miała wrażenie, że śni, ale przecież wiedziała już jasno; wszystko się zmieniło. Ona się zmieniła, w niezwykle, piękny i niewyjaśniony sposób. Szła teraz inaczej niż zwykle, oddychała inaczej, patrzyła i widziała wszystko inaczej. Spoczęło na niej, wraz z ciężarem ojcowskiej ręki, poczucie odpowiedzialności i doniosłości zadania. I wagi całego jej życia. Jej istnienia, które dotąd widziała jako prostą układankę: nauka, zabawa, bale, koncerty, jazda konna... Potem wreszcie ślub z jakimś fascynującym księciem, czy też hrabią (małżeństwo polityczne raczej jej nie groziło; Magnolia rzadko uciekała się do tego typu zabezpieczeń), potem wreszcie dzieci, jakiś zameczek w górach... Zaśmiała się z politowaniem do tych dziecinnych mrzonek. Jakież to wszystko było dalekie teraz, gdy w żyłach czuła pulsującą krew Mirtów, a w uszach miała jeszcze echo tamtych głosów wołających „Niech żyje królowa Magnolii!”. Miała wrażenie, że stała się tej nocy niezwykle silna i że teraz będzie mogła unieść każdy ciężar. Poza tym była śpiąca i trochę bolała ją głowa.

Gdy przechodziła przez pusty hol, zatrzymała się przed portretem matki. W nikłym świetle pochodni ogromny obraz też wydał jej się inny niż dotąd. Przypomniały się jej słowa ojca.

Czy ja naprawdę jestem do niej podobna? – zastanowiła się. Królowa Julietta, ciemnowłosa, mlecznobiała, w wielkiej, kremowej, koronkowej sukni, z perłami we włosach i kwitnącą gałązką magnolii w ręku, patrzyła na nią ze słodkim, troszkę smutnym uśmiechem. Cayenne próbowała rozpoznać w tej twarzy swoją własną. Rzeczywiście, miały podobne oczy. I jeszcze kształt nosa. I coś dumnego w brwiach i w ustach. Na tym jednak kończyło się podobieństwo, przynajmniej według Cayenne.

Gdzie mi tam do niej! – pomyślała. Cóż, Julietta była zjawiskową kobietą. Taka była jej legenda i taką przedstawiał ją obraz. Piękna, nieskazitelnie piękna... Taka jasna, szlachetna, taka zgrabna... Eulalia westchnęła. No cóż, najwyraźniej Julietta nie miała tendencji do tycia. Cayenne spojrzała na nią jeszcze raz...

– Będę królową, mamó, wiesz? Już nią jestem. Będę królową jak ty i babcia Merosa.

Julietta odpowiedziała uśmiechem, w którym był odcień dumy. Córką uśmiechnęła się więc również i pełna tej samej dumy oraz najlepszych postanowień udała się na spoczynek.

*

Trzydzieści dwa dni później Magnolia świętowała wstąpienie na tron młodej wiekiem, lecz, co podkreślano, dojrzałej duchem, królowej Eulalii. Uroczystość zaplanowano z wielką pompą, ucztowaniem, tańcami i wszelką zabawą. Postarano się, aby na żadnym stole nie zabrakło tego dnia pieczonego prosiaka ani ciasta z jabłkami, ani cydru. Przysięga oraz akt koronacji odbyły się w sali tronowej na zamku, a zaraz potem nowo mianowana władczyni ukazała się na balkonie, gdzie zebrani na placu mieszkańcy stolicy i przyjezdni poddani powitali ją z wielkim entuzjazmem. Przez cały ten i następny dzień z ust ludu nie schodził okrzyk: „Niech żyje Eulalia, królowa Magnolii”. Wznoszono toasty, śmiano się i tańczono do świtu. Już dwa tygodnie wcześniej ruszył w podróż po kraju portret pędzla mistrza Evengarda z Tequaru przedstawiający Eulalię w złoto-perłowej sukni i diademie, trzymającą w lewej dłoni królewskie jabłko, w prawej zaś – zamiast berła – gałązkę magnolii.

Po miesięcznej żałobie lud Magnolii świętował wszystkimi siłami, mając nadzieję, że teraz wreszcie skończą się troski i nastaną lepsze czasy pod berłem pięknej „płomiennowłosej królowej”. Pessimistów, którzy nie wierzyli w świetlaną przyszłość i snuli ponure przewidywania co do dalszych losów córki króla Maja, nikt po prostu nie słuchał. Trzy nieszczęścia, jak na jedną rodzinę, z pewnością wystarczą, mawiano. A królowi chyba nie zależy na tym, żeby zza grobu nękać córkę własnym pechem tylko z tej racji, że

nieszczęścia winny chodzić parami. Nieszczęście jednak przyszło.
I to nie z woli fatum, w postaci gromu z jasnego nieba czy zarazy,
lecz z inicjatywy samej Eulalii.

ROZDZIAŁ DRUGI

Noc była jasna. Księżyc odbijał się w rzece, w posrebrzanych dachach pałaców i w lusterkach sadzawek, rzucając łagodne światło na Srebrne Miasto, które wydawało się przez to jeszcze bardziej srebrne. Zamek, niczym potężny olbrzym, strzegł go, osłaniając skrzydlami zewnętrznych murów. Nic nie mogło zagrozić mieszkańcom, oddychającym przez sen powietrzem o woni bzu i jaśminu.

Właśnie dziś powinno się udać. Ta noc będzie moją przewodniczką.

Tę i podobne, mniej lub bardziej górnolotne myśli powtarzała sobie Cayenne od trzech z górą godzin; po pierwsze po to, żeby nie zasnąć, po drugie, żeby nie tracić ducha, po trzecie w celu skrócenia sobie czasu, który włókł się niemożliwie.

Dobrze, jest prawie północ. Wszyscy powinni już spać. Liczę do stu i wstaję. Policzyła do stu, potem do pięćdziesięciu i jeszcze raz do pięćdziesięciu.

Jak tak dalej pójdzie, to zacznie świtać! Dosyć tego. Wstaję!

Szybkim ruchem odrzuciła kołdrę. Odczekała kilka sekund, bo wydało jej się, że Vanessa poruszyła się przez sen. Wreszcie wstała

i wzięła stojący na taborecie lichtarz. Po namyśle odstawiała go i zabrała się za ślanie łóżka.

Trzeba zostawić porządek. To musi wypaść z klasą. Równiutko ułożyła poduszki, koldrę i kapę, zasunęła zasłonki. Zajęło to trochę czasu. Na koniec ustawiła obok łóżka pantofle, a ze skrzyni wyciągnęła (prawie bezszelestnie) parę wysokich, zamszowych butów do jazdy konnej. Wzięła znowu świecę.

No, ciekawe, co zrobię z tymi butami. Nie pomyślałam, jak zwykle. Jeśli je założę, będą hałasować, a nieść je to przecież idiotyzm. Ładnie to będzie wyglądało, jeśli mnie ktoś spotka. Powiem, że idę do toalety... z butami pod pachą?

Przechodząc obok łóżka Vanessy, przyjrzała się jej uważnie. Niańka spała mocnym snem. Cayenne minęła ją więc i wyszła z pokoju.

Owiał ją chłód. Podłoga też była lodowata. Szybkim krokiem przebyła ten i następny korytarz. Tak jak przypuszczała, nie napotkała żadnej straży. Pewnie siedzą na dole i grają w kości. Że też ich królowa na to pozwala!

Ale dzisiaj robią mi przysługę. Może ich za to kiedyś wynagrodzę. Jeśli się uda.

Z tą nieco przewrotną myślą zaczęła schodzić po wąskich, kręconych schodach. Właśnie doszła do ostatniego zakrętu, gdy usłyszała głosy. Rozległy się tak blisko i nagle, że Cayenne włosy stanęły na głowie. Zdmuchnęła świecę i zaczęła uciekać w górę. Była pewna, że zauważyli światło, a jeśli nie, to ją usłyszeli. W wielkiej panice wcisnęła się w wąską wnękę, tuż obok schodów. Dwa głosy i tupot dwóch par ciężkich butów zbliżał się stopniowo. Wbrew jednak oczekiwaniom ukrytej w schowku uciekinierki, rozmowa, którą prowadzili żołnierze, nie dotyczyła bynajmniej jej osoby.

– Mówię ci, brachu, ona jest... no, taka...

– No, wysłów się wreszcie. Powiedz: piękna.

– Tam piękna! Piękna to przy niej nawet Agnes nie jest.

– O, nie przesadzaj może!

– Zabij mnie, nie przesadzam! Ona... Melania... Mela... jest po prostu... doskonała i... Ale to nawet nie to, że piękna, tylko to, co ona w sobie ma... ten jakiś ogień! Od tego się człowiek zmienia w kulę ognia! I mnie się trafiło, mnie!... Ja myślałem, że oszaleję! I chyba miałem rację, nie? Każdy, każdy chciałby ją mieć, stary, pojmujesz?

– Pojmuję, że jesteś szczęściarz. Ale to wiedziałem już wcześniej. No? I jak było?... Taka jak wygląda?

– No, wiesz co... lepsza!

No, nie, naprawdę mogliby sobie darować – pomyślała Cayenne, czując, że robi jej się gorąco w policzki. Tymczasem rozogniony amant snuł swój wywód i wcale nie wykazywał chęci ruszenia się z miejsca.

– Taka noc, stary, taka noc, czujesz? Ona tam teraz śpi... a ja tutaj, do stu ogrów, z tobą! Bez urazy...

– No to skacz oknem, na co czekasz? – zaproponował towarzysz.

– Skoczyłbym, och – westchnął tamten – Tylko że by potem moja Mela ze mnie pożytku nie miała... – zauważył nagle trzeźwo.

– Ale jak tylko dostanę wolny dzień, polecę prosto do niej! No, po drodze jeszcze chapnę jakiś prezencik. Tak obiecałem i ten księżyc mi świadkiem – zawołał donośnie – że dotrzymam słowa!

A to pech. Jeśli zniknę, to Lissar nieprędko da im wolny dzień – pomyślała królowa i wcisnęła się głębiej we wnękę, bo obydwaj panowie, ruszywszy się wreszcie, właśnie ją mijali. Nie czekała, aż znikną za zakrętem. Gdy tylko oddalili się o kilkanaście kroków, zdesperowana rzuciła się znowu w dół schodów. Jakimś cudem nic nie zauważyli.

Następne dwie sale po prostu przebiegła. Tylko w wielkim holu zatrzymała się na chwilę przed portretem Julietty. Po ciemku wi-

doczne były wyraźnie białe plamy twarzy i dłoni oraz kremowa suknia, świecące światłem laserunku.

– Pomóż mi, mamie – szepnęła. – Muszę to zrobić, żeby uratować honor i dotrzymać przysięgi. Kiedy wrócę, będę prawdziwą królową.

Starła się wybierać boczne korytarze, żeby nie natknąć się znów na kogoś. Taka taktyka była bezpieczniejsza, ale zajmowała dużo więcej czasu.

Zaraz zacznie świtać! – pomyślała znów ze złością, skręcając w kolejny wąski i pełen pajęczyn korytarzyk. Nie wiedziała, jak długo trwa już ta wędrówka, ale świeca, którą zapaliła znów od jednej z pochodni, kurczyła się w zastraszającym tempie. Cayenne była zmęczona i zdenerwowana. Włożyła buty, nie mogąc znieść zimna kamiennej posadzki, i szła teraz jeszcze wolniej, przestraszona odgłosem własnych kroków. W końcu dotarła tam, gdzie zamierzała: do kuchni, a konkretniej – do spiżarni. Tu przyszła kolej na poważną decyzję: co zabrać? Nie można wziąć ani za dużo, ani za mało...

Ascetycznie – pomyślała – bez żadnych zbytków. Za dwa dni będę mogła zatrzymać się w jakiejś wiosce. Zresztą w lesie są poziomki.

Zdjęła z półki średniej wielkości chleb, mężnie ominęła kosze ze słodkimi buleczkami i skierowała się w stronę wędzonych serów. Wzięła jeden, nieduży. Po namyśle zabrała jeszcze kilka jabłek. No, chyba wystarczy. Teraz szybko – odwrót.

Wycofała się na korytarz, dźwigając buty pełne jabłek, chleb, ser oraz świecę. Stąd dalszą trasę miała już opracowaną. Bezblędnie trafiła do małej pakamery mieszczącej się obok pralni. Czuć było nawet zapach mydła i namokniętych balii, pozostawionych wieczorem przez praczeki.

Cayenne zamknęła za sobą drzwi, postawiła na podłodze lich-tarz i skierowała się ku starej, zakurzonej skrzyni, nieotwieranej,

zdawałoby się, od miesiący. Otworzyła ją i zaczęła wyjmować przeróżne przedmioty, magazynowane tu przez szereg kolejnych nocy. Na podłodze znalazły się więc: brązowe spodnie i bluza, duża torba o brzęczącej zawartości, krzesiwo i hubka, świeca, kościany grzebień, mydło różane, kawałek rzemyka, biała płócienna koszulka i zawiniątko z bielizną, w końcu długi, lekki, brązowy płaszcz z kapturem. Obok stały jeszcze buty. Popatrzyła na to wszystko, przeliczając w myśli i zastanawiając się, o czym mogła zapomnieć. Z torby wyjęła sakiewkę pełną brzęczących monet. Po namyśle otworzyła ją i przesypała połowę jej zawartości do obydwu butów.

Muszę być ostrożna – pomyślała. Potem, wsunawszy rękę do torby, wyjęła z niej mały, srebrny sztylet w skórzanym futerał. Zdjęła ten futeal i przysunęła nóż do światła, żeby na niego popatrzeć. Był piękny: drobny, wąziutki, z rękojeścią ozdobioną roślinnym motywem. Na jej końcu błyszczał ogromny szmaragd. To nie była robota krasnoludów, o nie! Cayenne po raz kolejny pomyślała, że to zbyt ozdobna broń dla kogoś, kto chce podróżować incognito, ale cóż zrobić, kiedy nic skromniejszego nie udało jej się znaleźć. Schowała z powrotem do torby sztylet i sakiewkę, a także inne drobne rzeczy, wraz z prowiantem. Nie ma czasu! Szybko ściągnęła koszulę nocną i ubrała się we wszystko, co przygotowała.

No tak, sztylet! Znowu zapomniałam! – denerwowała się. Przyjęła broń do paska drżącymi rękami. Starła się uspokoić, ale to nie było proste. Była roztrzęsiona i wszystko leciało jej z rąk.

– Głębokie oddechy, Cayenne. Jest dobrze. Wszystko będzie dobrze.

Po chwili znów sobie coś przypominała. Pogrzebała w torbie i wyciągnęła zwitek papieru, zalakowany i przypieczętowany jej własną, królewską pieczęcią. Włożyła go do wewnętrznej kieszeni płaszcza. Wyglądało na to, że ma już wszystko.

Stała w płaszczu i kapturze, z torbą na ramieniu, przed małym kawalkiem lustra, ustawionym obok skrzyni. Uśmiechnęła się do swojego odbicia. Wyglądała ładnie. Pokrzepiona tym faktem, ruszyła w kierunku wyjścia drogą prowadzącą przez pralnię. W tejże pralni wrzuciła do jednego z koszy na bieliznę swoją nocną koszulę. Ślady zatarte, można wreszcie opuścić to miejsce.

Otworzyła drzwi wyjściowe i znalazła się na małym dziedzińcu, skąd widać było stajnie i inne pomieszczenia gospodarcze, tonące w mroku i ciszy. Ale jakże inna była to cisza! Tam, wewnątrz echo odbijało każdy dźwięk i wszystkie szmery podążały korytarzami, płacząc się i zniekształcając nieprzyjemnie. Tutaj cisza składała się z szelestu wiatru w liściach akacji, puchania puchaczy, świergotu słowików, pochrapywania koni i chłopców stajennych, z dalekiego plusku wody i z wielu innych cudowności, które trudno jest wyodrębnić, a które składają się na muzykę nocy, zwaną też ciszą. Poza tym było tu dużo jaśniej i o niebo cieplej niż w środku. Księżyc świecił na wprost niej, tak że mur, o który się opierała, wydawał się zupełnie biały od blasku... Ale to akurat nie wróżyło dobrze. Trzeba było jak najszybciej przejść na drugą, ciemną stronę fortecy, aby nie zostać zauważoną przez porozstawianych na murach strażników.

Zacząła więc sunąć wzdłuż ściany, chowając się w zaułkach lub przebiegając po kilka kroków do następnego zacienionego miejsca. Miała szczęście; bez problemu przedostała się na wschodnią stronę, gdzie kładł się cień białego olbrzyma. Kolejne szczęśliwe zrządzeniem losu (bo nie obliczyła tego wcześniej): to właśnie po tej stronie ukryła małą tratwę zbitą z desek, która miała przewieźć ją na drugą stronę fosy. Wydobyla z krzaków ową tratwę oraz długi drąg.

Trzeba przyznać, że podczas tej przeprawy miała serce w gardle. Po raz pierwszy realnie groziło jej oberwanie strzałą z kuszy któregoś z ukrytych za murem żołnierzy. Toteż co chwilę oglądała

się w strachu i nasłuchiwała świstu za swoimi plecami. Płynęła, odpychając się drągiem. Na szczęście fosa zdążyła już obeschnąć po wiosennych roztopach i woda nie przekraczała nigdzie sześciu lokci. Po niedługim czasie królowa dobijała już do brzegu, zaniepokojona nową refleksją: czy zamek rzeczywiście jest bezpieczny, skoro każdy, nawet początkujący i niedoświadczony jak ona włamywacz, przemytnik, tudzież uciekinier może bez najmniejszych przeszkód przepłynąć sobie przez fosę?

Trzeba to będzie poprawić, gdy wrócę – pomyślała i była to kolejna rzecz, którą obiecała sobie wziąć pod uwagę po powrocie. Czyli za jakieś dwa miesiące, może trochę wcześniej. Tymczasem wspinała się po zboczu fosy, trzymając się trawy i korzeni rosnącego nam klonu. Nie miała już, niestety, wolnej ręki, żeby wynieść tratwę. Musiała więc pozostawić ją na dole, na wieczną hańbę strażnikom. Trudno.

Wydostawszy się na stały ląd, Cayenne zapuściła się w miasto. Czuła się bezpieczna i co najważniejsze, nareszcie bezimienna. Spośród trzech napotkanych osób żadna nie rozpoznała władczyni, gdy ta przemierzała brukowane uliczki, podziwiając księżyc. Zmierzała w kierunku domu jegomościa o dziwacznym, z krasnoludzka brzmiącym nazwisku: Bordoląg. Jegomość ów z zawodu był snycerzem, ale po godzinach zajmował się wszystkim, co mogło mu przynieść jakiś pieniądź, nie troszcząc się zbytnio, czy zajęcie było legalne, czy nie całkiem. Krasnoluda nie przypominał w niczym: był wysoki i chudy jak śledź, a do tego sływał z uprzejmej wylewności, która jest u krasnoludów cechą, jak wiadomo, raczej rzadką.

Bordolągowi zaś pomagała z pewnością we wszystkich jego zawodach, zjednując mu interesantów, ich znajomych i przyjaciół oraz przyjaciół znajomych. Dzięki temu nawet Cayenne dowiedziała się o nim i odwiedziła go w poprzednim tygodniu „w interesach”. Pan Bordoląg miał zaopiekować się przez kilka dni kłaczą swej in-